



Ze Srinagaru wyruszyliśmy ok. 7ej rano zapakowani do dwóch travellerów, w których mieliśmy spędzić ok. 20 dni jadąc przez Ladakh i zatrzymując się w różnych miasteczkach, wioskach i podziwiając góry. Auta mamy dwa, w jednym jest Kumar z ośmiorgiem wyprawowiczów, w drugim ja, Grace i kolejna ósemka młodych. W pierwszym dniu założyliśmy, że przejedziemy trasę poprzez Kargil, Mulbekh aż do Lamayuru, gdzie mieliśmy przenoć w hotelu przy buddyjskiej gompie. Kargil minęliśmy szybko, na dłużej zatrzymaliśmy się w Mulbekh, żeby zobaczyć tamtejszą gompę i zjeść szybki lunch. Już po pierwszych kilkudziesięciu minutach w travellerach większość młodych spała snem sprawiedliwych, za co dostali burę od Kumara jak tylko stanęli przed pierwszą gompą. Na lunch zamówiliśmy dla wszystkich veg maggi, czyli tutejszą zupę „z tytki” przygotowywaną inaczej niż te, które znamy. Maggi podgotowuje się wraz z podsmażonymi warzywami, a nie zalewa suchego makaronu wrzątkiem. Maggi lubię i chyba większości smakowała zamówiona porcja pożywej zupki. Część nie zjadła, bo morduje się z problemami gastrycznymi. Do tych żołądkowych dopisać należy katary, pokasływanie i bóle głowy. Ale te dolegliwości wynagradza to, co poznają jeśli akurat nie drzemią... jadąc do Lamayuru mogliśmy też doświadczyć pierwszych wysoko położonych przełęczy i temperatur oscylujących poniżej 10 stopni Celsjusza. Zgodnie z założeniami wieczorem byliśmy w gompie, przy której był nasz hotel. A ten zaskoczył chyba wszystkich - pokoje były czystutkie, łóżka zasłane śnieżną pościelą, z kranów i pryszniców ciekła ciepła woda, a zamówiona kolacja była przepyszna. Następnego dnia rano nie chciało się wychodzić spod leciutkiej jak chmurka kołderki i zbierać zwłok z wygodnego materaca. Jednak przed nami był przejazd do Zanskaru, czyli tej części Ladakhu, w której jeszcze nawet Kumar nie był i nie poznał. Wyjeżdżając z Lamayuru nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak trudna będzie ta przeprawa przez dolinę. Tam nie było asfaltowych dróg, tylko kamieniste, wąskie i zawieszane wysoko nad przepaściami. Nimi mieliśmy dojechać do miasteczka Padum, swego rodzaju „stolicy” Zanskaru. Ale zatrzymaliśmy się również w miejscowości Zangla, gdzie włąziliśmy po milionie schodów do pałacu, który liczy ponad 700 lat i z którym kojarzy się węgierskiego uczonego Alexandra Csomę de Korosa. Csoma de Koros był tym, który skompilował pierwszy słownik tybetańsko-angielski i traktat gramatyczny. Bystre ślepia wyprawowiczów wypatrzyły nawet napisy po... węgiersku, czyli ślady bytności tam wspomnianego tłumacza.

Wytrzęsieni w busikach, w których spędziliśmy blisko dziesięć godzin, liczyliśmy na szybkie przyjęcie pozycji horyzontalnej w hotelowych pokojach i dinner, tymczasem nigdzie nie mogliśmy znaleźć pokoi dla naszej dziewiętnastki. Była sobota, turystów w Padum nadzwyczaj dużo, a my skutkiem tego mieliśmy kłopot. Pomogli nam szukać jakiegoś lokum kierowcy travellerów - świetni, życzliwi ludzie i mistrzowie kierownicy i udało się. Wynajęliśmy kilka wygodnych (dużych, z łazienkami) namiotów i pokój w homestay. Dyrektor z młodymi zaanektowali namioty, my - princessy, czyli Grace i ja wspomniany pokój. W miejscu naszego pobytu w Padum ciepła woda była ze specjalnych zbiorników i teoretycznie mogliśmy się połączyć ze światem za pośrednictwem WiFi. Teoretycznie, bo po wbijaniu hasła wyświetlał się jedynie napis POŁĄCZONO BEZ INTERNETU. No cóż, liczyliśmy się z tym, że w Ladakhu znikniemy z sieci na dłużej. I może i dobrze...? Pod namiotami spędziliśmy dwie noce. Czas w Padum wypełniło zwiedzanie buddyjskich gomp, których powstanie datuje się na IX i X wiek. Do jednej pobudowanej na skalnej ścianie i w jaskini dzielni wyprawowicze musieli dojść w upale, dość stromą ścieżką, prowadzeni przez



chłopaka, który idąc z pięcioma Indusami, na ochotnika, poprowadził i naszą grupę. Generalnie mnisi buddyjscy rezydujący w Zanskarze lubili chyba odprawiać puje na wysokości, bo do większości monasterów trzeba było się drapać w górę. Nie ukrywam nie cierpię wchodzić i schodzić po kamiennych nierównych schodach. Trzeba też przyznać, że wyglądały malowniczo jakby przyklejone do stromizm Himalajów. Do tego ta przyroda... Krowy, konie, jaki, świstaki na zielonych łąkach upstrzonych kępkami malutkich fioletowych, żółtych, niebieskawych kwiatków.

Zanskaru trzeba się nauczyć. Majestat gór może przytłaczać, subtelna uroda tutejszego pejzażu nie zwali z nóg każdego, ale każdy kto tu trochę pobędzie i da się temu miejscu uwieść, ten będzie wracać. Choćby myślami. Tu można wytchnąć, zresetować się, jadąc z miejsca w miejsce medytować przy dźwięku mantr.

Kolejnego dnia wyjechaliśmy do Rangdum. Po drodze znowu zwiedzaliśmy buddyjskie gomy. Piękne, stare, kolorowe z przyjaznymi i dobrotliwie uśmiechającymi się do nas mnichami. W dodatku bardzo cierpliwymi, bo nasza „szarańcza” co i raz prosiła kogoś z nich o możliwość zrobienia zdjęcia czy przymierzenia oryginalnych żółtych czapek, które nosili. Nie odpuszczał zwłaszcza Piotruś Stojowski, który nie tylko okazał się koneserem mnisich nakryć głowy, ale wiernym, nawet na wyprawie, kibicem Ruchu Chorzów i w barwach tej drużyny pozował do zdjęć nawet na przełęczach na wysokości ponad 5 tysięcy metrów nad poziomem morza. Zanskar i Ladakh to też dobre miejsce na zakupy precjozów ze srebra, albo prawie srebra i koszulek z pięknymi haftami przedstawiającymi symbole buddyjskie. Oczywiście większość z nas takie już nosi, łącznie ze mną, kronikarką wyprawy.

Ale wracając do Rangdumu... na miejscu znowu byliśmy wieczorem i znowu był mały problem z noclegami, ale w końcu wszyscy spaliśmy pod dachem. Dziewczyny w czystym homestay, a my w hoteliku z chłopakami, którzy musieli zlec pokotem w jednym dużym pokoju. Na materacach. A my - kadra w pokojach, których nikt nie sprzątał jakoś tak od stycznia, więc rzuciliśmy na podłogę brudne poduszki i kołdry i zrobiliśmy użytek z własnych śpiworów. Kolację i śniadanie też zjedliśmy w tym hotelu i o ile kolację przygotowywał właściciel, o tyle rano, kiedy zeszliśmy na śniadanie, zauważyliśmy chłopaków kręcących się po kuchni, smażących puri i omlety. Panowie, którzy nie pichcili, latali z miotłą po „obejściu”... Oj, długo nas będzie wspominać ów rangdumski hotelarz. A po śniadaniu, już z dziewczynami na pokładzie ruszyliśmy dalej. Kolejny cel to zobaczyć dwa siedmiotysięczniki (Nun i Kun) i dojechać do Lamayuru, skąd postanowiliśmy wyruszyć do Leh.